

STEFAN GRABIŃSKI

Maszynista Grot


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI

DEMON RUCHU

Maszynista Grot

Z urzędu ruchu stacji Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści: „Baczność na pociąg nr 10! Maszynista pijany lub niepczytalny”.

Urzędnik, wysoki, kościsty blondyn z rudawymi baczkami, odczytał rulon raz i drugi, odciął wąską, białą taśmę wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni. Krótkie spojrzenie rzucone na zegar stacyjny pouczyło, że na sygnalizowany pociąg jeszcze dość czasu. Więc ziewnął znudzony, zapalił niedbałym ruchem papierosa i przeszedł do sąsiedniego pokoju kasjerki, jasnowłosej panny Feli, przygodnego ideału w chwilach nudy i oczekiwań na lepszy kasek.

Podczas gdy pan naczelnik tak godnie przygotowywał się na przyjęcie zapowiedzianego parowozu, ujechał podejrzany pociąg już spory kawał drogi poza stację Brzana.

Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni. Migwały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiółki, rzucały się wstecz zielonymi płachtami łąki i sianozęcia. Pociąg pędził całą siłą pary: tu go chwycił w szumiące chwiejbą sosen i świerków ramiona las, tam wynurzony z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniąła mglistą wstęgą linia gór...

Grot, oparty o skrzydło maszyny, wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim, szarym traktem, ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgiwał się na nie lekko, drapieźnie, okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie¹ pod siebie.

Maszynista czuł niemal fizycznie rozkosz tego ciągłego zdobywania, co nigdy niesyte wypuszcza lekceważąco dopadnięty już łup i mknął dalej na nowe podboje. Grot lubiał pokonywać przestrzeń!...

Bywało, zapatrzy się we wstęgę toru, zaduma, zamyśli, o świecie bożym zapomni, aż go palacz za ramię szarpnąć musi i ostrzec, że ciśnienie za wielkie lub stacja już blisko. Zapamiętałcem bo był maszynista Grot nie lada!

Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo dość późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz mimo to od razu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów.

Czym był przedtem, nie wiadano. Wypytywany, odpowiadał niechętnie ni to, ni owo lub milczał uporczywie.

Towarzysze i władze otaczały go widocznym szacunkiem, wyróżniając wśród innych. W słowach jego krótkich, skąpo rozdzielanych między ludzi, przebijała inteligencja niepowszednia, cześć nakazująca.

Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne; lecz na dnie wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką tzw. zwichniętą, czymś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem, a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie.

On sam jednak jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia i nie ubolewał nad sobą. Służbę pełnił chętnie i nie zabiegał o urlopy. Czy zapomniał o tym, co minęło, czy nie czuł się nigdy powołanym do wyższych celów — nie wiadomo.

¹skwapliwie (daw.) — szybko, chętnie. [przypis edytorski]

Z przeszłości Grota zdołano ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył wojskowo podczas kampanii francusko-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata.

Bliższych szczegółów mimo wszelkie wysiłki² ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. W końcu dano za wygraną, zadawalając się skąpą wiązką biograficznych danych „inżyniera Grota”. Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze mało mownego towarzysza. Przewisko to, nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszynisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność.

Maszyna pracowała ciężko, oddychając co chwila kłębami kłacastego, zmierzwionego dymu. Podsycana wciąż gorliwą ręką palacza para rozlewała się piszczelami rur po kośćcu żelaznego olbrzyma, popychała suwak, parła o tłoki, pędziła koła. Gruchotały szyny, skrzypiały tryby, przerzucały się z trzaskiem dźwignie i heble rewersujące...

Na chwilę Grot ocknął się z zadumy i spojrzał na manometr. Wskazówka, zakreśliwszy luk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce.

— Puść pan parę!

Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd, a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka, mlecznobiała tulejka.

Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł powtórnie w marzenia.

„Inżynier Grot” — cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!...

Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej, mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej, środkowej izbie duży stół zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochylona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof, i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii okrążającej eliptycznym zgięciem jakąś płaszczyznę. Oleś przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To ich pracownia — to tajemnicze wnętrze, z którego wylągl się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w zaświaty, w nieskończoność. Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przyszła wojna, branka³, pochód, bitwa i... śmierć. Schyliła się jasna głowa na zboczoną pierś, zamknęły chabrowe oczy na wieki...

Pamięta ten moment, jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt „czerwonego fortu”. — Olek pomknął bohatercko naprzód, widny z dala na czole oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastionu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół — na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierań do celu...

Śmierć tę odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w połowym lazarecie. Potem — wrócił w codzienne życie na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, światoburcze idee, zdobywcze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już sił: poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat⁴ zastąpił zupełnie pierwotny ideał, przesłonił swą ciasną, szarą ramą szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skalę. Lecz wyprosił sobie u władz jazdę wyłączną na tempie, zbliżał się choć w części do pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na szeroko rozpiętych liniach, odurzał pokonywaniem w krótkim czasie znacznych odległości.

Nie znosił tylko dróg powrotnych, nie cierpiał rekordów tzw. *tour-retour*⁵. Grot lubiał pędzić tylko przed siebie — brzydził się wszelkich powtórzeń. Dlatego wolał wracać do nieubłaganego punktu wyjścia drogą okrężną, linią kolistą lub elipsą, byle nie bezwzględnie tą samą; dostrzegał wybornie niedoskonałość tych krzywizn, które w siebie wracają, czuł nieetyczność tych dróg, bądź co bądź wsobnych, lecz ocalał choć pozór ruchu postępowego, miał przynajmniej złudzenie, że dąży przed siebie.

²mimo wszelkie wysiłki — dziś popr.: mimo wszystkich wysiłków. [przypis edytorski]

³branka — przymusowy pobór do wojska. [przypis edytorski]

⁴surogat — namiastka. [przypis edytorski]

⁵tour-retour (fr.) — przejazd i powrót. [przypis edytorski]

Bo ideałem Grota była szalona jazda w linii prostej, bez zbieżeń, bez obiegów, jazda opętana, bez tchu, bez postojów, wichrowy pęd maszyny w błękitniejące mgłą oddale, skrzydlata gońba w nieskończoność.

Grot nie cierpiał jakiegokolwiek mety. Od czasu tragicznej śmierci brata wytworzył się szczególny uraz psychiczny objawiający się w lęku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojność zasięgów — znenawidził realizację dopięć — drżał przed momentem spełnień z obawy, by w owej ostatniej, rozstrzygającej chwili nie zaskoczył zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy — jak Oleś przed laty...

Stąd odczuwał maszynista żywiołowy lęk przed stacją i przystankami. Miał ich wprawdzie na swoich przestrzeniach niedużo, lecz zawsze były i pociąg należało od czasu do czasu zatrzymywać.

Stacja stała się dlań z czasem symbolem znenawidzonego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą metą, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.

Idealna linia drogi rozpadała się na szereg odcinków, z których każdy był zamkniętą całością od punktu wyjścia do punktu przybycia. Powstawało rozczarowujące ograniczenie, ciasne, nad wyraz banalne: stąd — dotąd. Na wyprężonej cudownym rzutem w bezkresy wstędze tworzyły się tępe węzły, uparte supły i psuły rozpęd, plugawiły szal.

A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani.

I gdy już na widnokregu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadały go nieopisany lęk i obrzydzenie; podniesiona ku korbie ręka mimo woli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacji nie minąć.

W końcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł: postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojęcie stacji, tracąc dużo z wyrazistości, stawało się czymś ogólnikowym, czymś tylko z lekka naszkicowanym i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic użyczała pewnej swobody ruchów, nie krępowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacji w termin nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć; słowem, stacja w tak szeroko pojętym znaczeniu, poddana dowolnej interpretacji maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimo to wstrętną.

Chodziło więc przede wszystkim o to, by nigdy nie zatrzymać pociągu w miejscu oznaczonym mniej więcej przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.

Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności, wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał za wcześniej, drugi raz za późno — drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.

Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić; swoboda wydawała się pozorną, iluzoryczną, czymś w rodzaju samooszukiwania się; nie zamącony zdziwieniem spokój rozlany na twarzach kierowników stacji irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwalił się: wychylenia stawały się z dniem każdym silniejsze, diapazon⁶ rósł, wzmagał się.

Już wczoraj naczelnik ruchu w Smągłowie, szpakowaty, z wiecznie przymrużonymi jak u starego lisa oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu zatrzymanego spory kawał przed stacją. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę. Lecz jakoś uszło na sucho.

Maszynista zacierał ręce i cieszył się:

— Przecież zauważyli!

Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.

Ciekaw jestem — pomyślał puszczając kurki w ruch — w jakim też stosunku wzrośnie irytacja tych panów? Przypuszczać by należało, że do kwadratu odległości.

⁶diapazon — rozpiętość. [przypis edytorski]

Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanym pasmem awantur.

Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed stacją. Oparłszy się o parapet maszyny, Grot zapalił fajeczkę i pykając z niej powoli, przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał wytłumaczyć sobie postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:

— Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.

Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłęb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:

— Hm... tak? A mnie zdawało się, że zwrotnica źle nastawiona. Nie oplaci się już podjeżdżać ten kawaleczek: moja staruszka trochę się zadyszała.

Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.

— Zresztą goście i tak już sami wysiadają — niech pan naczelnik popatrzy — o, jeden, dwóch, tam cała rodzina.

Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacji. Grot przeprowadzał ich ironicznym spojrzeniem i ani myślał zmieniać taktyki.

Urzędnik lekko zmarszczył się i dając za wygraną, upomniał na odchodnym:

— Na przyszłość wyteżaj pan lepiej oczy!

Maszynista zbył uwagę pogardliwym milczeniem. W parę minut potem poszybował pociąg mimo⁷ stacji w dalszą drogę.

Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia, z tą tylko odmianą, że tym razem podobało się Grotowi zatrzymać pociąg kilometr poza stacją. I tu postawił maszynista na swoim i nie cofnął się przed peron. Zauważył jednak, jak przed ruszeniem w dalszą drogę kierownik pociągu szeptał coś żywo przez parę minut z naczelnikiem; z wyrazu oczu i gestów poznał Grot, że on był przedmiotem rozmowy, lecz udął, że tego nie dostrzega. Ubawił go tylko znamieny, półkolisty ruch zakreślony palcem na czole przez urzędnika w czerwonej czapce. Wkrótce potem pędził znów pełną parą, ani nie przypuszczając, że równocześnie telegraficzny aparat puszczony w ruch w Brzanie zwrócił nań uwagę władz stacyjnych Podwyżą.

A już było od miasta niedaleko. Już przekreślały podwieczorne niebo złociste krzyże kościołów, przewijały się nad morzem dachów przeguby dymów, strzelały ostro iglice wież. Już krzyżowała się w dali sieć szyn, czerniał las zwrotnic, widniała połogo ustawiona szyba dystansu.

Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignię, zakręcił hamulec; maszyna wydała żalostną skargę niby jęk, niby świst, wyplunęła żebrami potężną siklawę pary i osadziła się na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.

Grot odjął ręce od kurków i studiował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentarza niższego rangą kolegę.

Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną. Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.

— Zajeżdżaj pan na stację!

Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.

Dumny z odniesionego tryumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszynisty i kotła, zapalił papierosa.

Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją, ujechał znaczny kawał poza nią, by tu dopiero, dymiąc wszystkimi parami, przystanąć na odpoczynek.

Urzędnik zrazu nie zorientował się, dopiero spostrzegłszy na lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:

⁷mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

— Czyś pan zwariował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika, lub piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!

Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik odsunął go gwałtownie od kotła i zająwszy jego stanowisko, puścił kontraparę; po chwili pociąg dysząc, zajechał przed peron.

Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatia obezwładniła mu ruchy, spętała ręce. Patrzył tępo na twarze służby, funkcjonariuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał się ściągnąć z platformy — jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem.

Po paru minutach znalazł się w biurze stacyjnym przed dużym, zielonym sukniem zasłanym stołem, na którym klapały bezustannie w nerwowych podrzutach aparaty, wysnuwały się z bloków długie taśmy, trzepotały dzwonki.

Kierownik stacji poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.

Jakoż padły.

— Pańskie nazwisko?

— Krzysztof Grot.

— Wiek?

— 32 lat.

— Kiedy pan wyjechał z Wrotycza?

— Dziś 4,54 nad ranem.

— Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?

— Oglądałem.

— Czy pamięta pan serię i numer maszyny?

Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech:

— Pamiętam. Seria: zero, numer: nieskończoność.

Urzędnik spojrział porozumiewawczo na zapisującego zeznania kolegę.

— Proszę liczby podane w tej chwili przez pana napisać na tej kartce.

Tu naczelnik podsunął mu pod rękę ćwiartkę papieru i ołówek.

Grot wzruszył ramionami:

— A owszem.

I skreślił w odstępach następujące dwa znaki: 0...∞

Naczelnik spojrział na liczby, pokiwał głową i prowadził w dalszym ciągu indagację:

— Liczba jaszczyka⁸?

— Nie pamiętam.

— To źle, bardzo źle — maszynista powinien wiedzieć takie rzeczy — zaopiniował sentencjonalnie.

— Jak się nazywa pański palacz? — zapytał po małej przerwie.

— Błażej Niedorost.

— Imię zgadza się, nazwisko błędne.

— Powiedziałem prawdę.

— Mylisz się pan, nazywa się Błażej Smutny.

Grot machnął obojętnie ręką:

— Być może. Dla mnie nazywa się Niedorost.

Naczelnik znów wymienił z towarzyszem znaczące spojrzenie.

— Nazwisko kierownika pociągu?

— Stanisław Mrówka.

Przesłuchujący z trudem powstrzymał wybuch wesołości:

— Mrówka, powiada pan? Mrówka?! Bajeczny pan sobie jesteś! Mrówka?! No proszę kogo!

— Tak jest. Stanisław Mrówka.

— Nie, panie Grot. Kierownik pańskiego pociągu nazywa się Stanisław Żywiecki. Znów się pan pomyliłeś.

Protokolant pochylił wypomadowaną głowę ku zwierzchnikowi i szepnął na ucho:

— Panie naczelniku, ten człowiek albo pijany, albo ma tęgiego fiola.

⁸jaszczyk — wóz transportowy z okutą skrzynią, tu: węglarka. [przypis edytorski]

— Zdaje się to ostatnie — odpowiedział, chrząkając, urzędnik, po czym zwrócił się do winowajcy z ponownym pytaniem:

— Pan żonaty?

— Nie.

— Czy pił pan co przed wyjazdem?

— Alkoholu nie znoszę.

— Ile pan godzin w służbie?

— 16.

— Nie czujesz się pan znużony jazdą?

— Bynajmniej.

— Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?

Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.

— Czekam na odpowiedź.

Maszynista zwiesił ponuro głowę.

Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:

— Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpił pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie; być może wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radzę panu poddać się oględzinom lekarskim jak najrychlej. Pan jesteś poważnie chory.

Grot popładł, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że go uważają tutaj za wariata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.

— Panie naczelniku — jęknął załamując ręce — zdrów jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.

— To wykluczone, panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofnął w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem. Pan się nie nadaje do służby, panie Grot. Trzeba się wpięrw leczyć. Poza tym skończyliśmy. Proszę opuścić lokal.

Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnię i zataczając się jak pijany, powlókł się wzdłuż magazynów kolejowych.

Czaszkę rozpięrał głuchy ból, w duszy lkała rozpacz. Stracił służbę.

Nie chodziło o tych marnych kilkadziesiąt sztuk monety, o posadę, o tytuł — szło o maszynę, bez której żyć już nie umiał. Chodziło o nieoceniony, jedynie dlań dostępny środek, którym mógł zmagać się z przestrzenią, pędzić w mroczniejsze dale. Z utratą służby usuwał mu się grunt pod nogami, rozwierała czarna, bezdenne otchłań bezcelowości życia.

Targany dławiącym krtań bólem minął magazyny, minął most, tunel i machinalnie wszedł na tory.

Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się Grot pomiędzy lśniącem zimno żelaziwem.

Wtem usłyszał za sobą ciężki stęk, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą luźną maszynę.

Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.

Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, zaświtało w skołatany mózgu i dojrzało w momencie.

Krokiem ostrożnym, drapieżnym, krokiem czającego się lamparta podkradł się pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę.

Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwilę. Zanim zdumiony kolega zorientował się w sytuacji wytworzonej przez nieoczekiwane gościa, napastnik zakneblował mu chustką usta, spętał ręce na krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemię.

Załatwiwszy się z tym w przeciągu kilku minut, zajął Grot przy kotle miejsce swego poprzednika.

Tytaniczna radość rozsadała mu serce — okrzyk tryumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!

Pocisnął kurki, siepnął parą, zatoczył młynem korbę. Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zanosła się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.

Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krępowany niczym, nie przerywany przystankami, nudą postojów. Grot mijał piorunem jakieś stacje, przemykał jak demon mimo jakieś miasta, przelatywał jak huragan przez jakieś przystanie. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko, sycił ogień, zgęszczał parę; jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomiarze, badał ciśnienie pary.

Nie widział nic, nie słyszał nic — upajał się tylko pędem, żył tylko wicherzycą ruchu, tonął w gigantyzmie rozmachu. Zatracił rachubę czasu, pory, godzin. Nie wiedział, jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpełtała się. Obląkane chyżością koła wykonywały nieuchwytnie, fantastycznie chybkie obroty, uznożone tłoki cofały się, to znów parły w przód skwapliwym gestem, tłukły się opętańczo zziąbane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę — rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwar, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędzej! W cwał! W cwał!

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier — nowa fala pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...

Grot wlepił przesłonione gorączką oczy w rubinową gardziel i pił jej żar, wysał jej krew...

Wtem... zakotłowało coś, zawył szatańskim skowytym — rozległ się huk, jak z tyśiącą armat, zaryczał grzmot, jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splątany kłęb, zgamstwany słup odłamków, żelaznych skorup, pogiętych blach — prysnęła pod niebo rakietka szczątów, rozprutyh przeseł, rozpekłych dzwon...

Rozdarł kiry nocy purpurowy finał Grota.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-maszynista-grot>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Tom I: Nowele, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [dbnunley@Flickr](https://www.flickr.com/photos/dbnunley/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).